

Z tej Osiecznej odebrałam od niego ostatni telefon. Chorował, potrzebował towarzystwa. Stąd prośba: przyjeżdżajcie, stęskniłem się za Wami. Ustaliliśmy dzień przyjazdu. Do spotkania nie doszło jednak. Stan zdrowia nagle się pogorszył. Pogotowie zabrało go do Poznania. Były to jego ostatnie dni.

Na zakończenie jeszcze kilka ogólnych uwag. Stanowiliśmy zgraną i zżytą z sobą grupę pracowniczą. Pomagaliśmy sobie nie tylko w pracy zawodowej, ale także we wszelkich kłopotach, które niesie ze sobą życie. Profesor nigdy nam swej pomocy nie odmawiał.

Nasze przywiązanie do Instytutu rosło z roku na rok. Trudności Instytutu napępniały nas troską, martwił nas stan zdrowia Profesora, o którym wszyscy wiedzieli, że nie jest dobry. Staraliśmy się więc tak pracować, aby z naszej pracy był zadowolony, także ze wzajemnego stosunku pracowników do siebie.

Profesor stwarzał ku temu dobrą atmosferę. Był wymagający, żądał rzetelnej, uczciwej pracy. Cenił odwagę przekonań, znał swoich pracowników, ich możliwości. Był dyrektorem sprawiedliwym, który swe sądy opierał na własnych obserwacjach, nie bacząc na krążące plotki. W ciepłych słowach potrafił przeprosić pracownika (rzadka zaleta u kierownika), jeśli uznał, że się pomylił. Był dla nas opiekuńczy, nasze troski, kłopoty stawały się jego troskami. Pomagał natychmiast i zawsze skutecznie. Był człowiekiem odważnym, nie bał się zatrudnić u siebie członka rodziny aresztowanego pracownika lub zapewnić jej pomoc. Za to są mu wdzięczni wszyscy, którzy z Nim pracowali.

*

LECH TRZECIAKOWSKI

LATA 1973 - 1978

Minęło dwadzieścia jeden lat, gdy w 1973 r. stanąłem przed szacownym gronem członków i pracowników Instytutu Zachodniego, by objąć godność dyrektora tej tak ważnej dla nauki polskiej instytucji. Była to ważna i wielka chwila w moim życiu. Zdawałem sobie sprawę z ogromnej odpowiedzialności, jaka na mnie spoczęła, jak również z faktu, że obok pracy badawczej i dydaktycznej zajmować się będę działalnością wykraczającą poza sferę czysto naukową.

Myśl moja biegła ku wielkim moim poprzednikom prof. prof. Zygmuntowi Wojciechowskiemu, Kazimierzowi Piwarskiemu, Michałowi Szczanieckiemu, Gerardowi Labudzie i Władysławowi Markiewiczowi. Byłem ich wychowan-

kiem, słuchałem bowiem wykładów Kazimierza Piwarskiego i Gerarda Labudy, do którego uczęszczałem również na seminarium, oraz Władysława Markiewicza. Z Michałem Sczanieckim związany byłem działalnością w Towarzystwie Rozwoju Ziem Zachodnich. Założyciela Instytutu Zachodniego Zygmunta Wojciechowskiego znałem tylko z widzenia. Miał bowiem swój gabinet w *Collegium Philosophicum*, gdzie jako student uczęszczałem na zajęcia akademickie. Zrzędzeniem losu jedną z pierwszych książek, jaką obok dzieła mojego Mistrza prof. Witolda Jakóbczyka *Doktor Marcin*, kupiłem, będąc początkującym gimnazjalistą, była publikacja Marii i Zygmunta Wojciechowskich *Polska Piastów i Jagiellonów*. Byłem zauroczony tym dziełem. Wielce aktywnymi członkami Instytutu Zachodniego byli prof. Janusz Pajewski, do którego uczęszczałem na seminarium i słuchałem jego wykładów, oraz prof. Jan Wąsicki, z którym łączyły mnie zainteresowania dziejami zaboru pruskiego.

Środowisko Instytutu Zachodniego nie było mi obce. Kilku kolegów, będących etatowymi pracownikami naukowymi Instytutu Zachodniego znałem od lat, a wśród nich Janusza Sobczaka. Janusz należał do grona, które zasługiwało na miano patriotów Instytutu Zachodniego. Wtedy to bliżej poznałem jednego z najwspanialszych ludzi, jakich znałem, a mianowicie Władka Tomaszewskiego. Myśląc o nim można strawestować tytuł głośnego filmu „Instytut Zachodni moja miłość”. Kierował naszym Wydawnictwem. Będąc z wykształcenia polonistą, cyzelował każdy otrzymany tekst. Zajmowało mu to wiele czasu, ale uważał, że nazwa Wydawnictwo Instytutu Zachodniego zobowiązuje. Był erudyta. Spotkania w jego gabinecie, już w latach kiedy nie byłem dyrektorem Instytutu Zachodniego, pozostają miłym wspomnieniem. Wiadomość o jego nagłej śmierci była dla mnie wstrząsem. Utraciłem jednego z prawdziwych przyjaciół.

Kierowanie Instytutem Zachodnim to bezpośrednie zetknięcie się z problematyką niemiecką, z całą jej złożonością. Kadencja moja przypadła na okres szczególny, kiedy rozpoczął się proces normalizacji stosunków między Polską a Republiką Federalną Niemiec. Miałem okazję obserwowania, a niekiedy i uczestniczenia w prowadzonych pertraktacjach. Po obu stronach znajdowali się zwolennicy i przeciwnicy ustalenia normalnych stosunków między Warszawą a Bonn. Nie można oczywiście zapomnieć, że byli i dwaj inni pozornie nie bezpośredni uczestnicy tego procesu – Związek Radziecki i Niemiecka Republika Demokratyczna. Politycy reprezentujący stronę polską w tych pertraktacjach w większości należeli do pokolenia, które przeżyło II wojnę światową będąc ludźmi już dorosłymi i część z nich miała poza sobą dramatyczne przeżycia. Moim zdaniem dzielili się oni na trzy grupy. Pierwszą stanowili ci, którzy traktowali swego niemieckiego partnera jako głównego przeciwnika politycznego. Oni wywierali poważny wpływ na prowadzone rozmowy. Była to jedna z przyczyn przeciągających się debat. Wiadomo, że

finalne decyzje zapadły już po przełomie 1989 r., kiedy to ster przejęli politycy mający na celu rzeczywiste zbliżenie z zachodnim sąsiadem. Do tej pory jastrzębie PRL nie bez powodzenia starały się nadać istniejącym kontrowersjom większy wymiar, niż na to zasługiwały lub tworzyć fakty powodujące kolejne napięcia między Warszawą i Bonn. Posłużę się tu przykładem. Swego czasu jeden ze znanych niemieckich profesorów, który niekiedy zajmował stanowisko mogące budzić zastrzeżenia nawet neutralnie nastawionych Polaków, opublikował w jednym z czołowych dzienników niemieckich artykuł zawierający pewne kontrowersyjne tezy, zasługujące na normalną naukową dyskusję na łamach społeczno-politycznych periodyków. Tymczasem jastrzębie PRL wykorzystały tę okazję do rozdmuchania akcji propagandowej. W Warszawie zwołano wielką naradę, którą prowadził jeden z głośnych wtedy publicystów. Grzmiał ponad wszelką miarę. Zarzuty stawiane autorowi artykułu tylko w części pokrywały się z treścią publikacji. Podczas dyskusji wyszło sztychło z worka. Prowadzący nie zapoznał się gruntownie z artykułem, o którym mówił. Postawa akcentująca konflikt, a nie zbliżenie odpowiadała praktyce politycznej władz PRL, które chętnie sięgały do straszaka niemieckiego, aby odwrócić uwagę od spraw wewnętrznych. Drugą grupę stanowili politycy, głównie młodszego pokolenia, którzy starali się w miarę ograniczonych jednak możliwości zabiegać o rzeczywiste zbliżenie na linii Warszawa-Bonn. Dopiero zmiany, jakie nastąpiły po 1989 r. pozwoliły im na rozwinięcie skrzydeł. Trzecia grupa, to ludzie, którzy nawet najwyższe stanowiska zawdzięczali przedziwnym układom personalnym, mgliście znający partnera, w ich pojęciu kontrpartnera, z którym przyszło im się spotykać.

Odmienne kształtowała się sytuacja w środowisku naukowców, którzy byli niekiedy ekspertami bądź działali w ramach Komisji Podręcznikowej. Wielu z nich należało do pokolenia, które doznało prześladowań w okresie okupacji lub w jakimś stopniu utraciło lata swej wczesnej młodości. Część z nich cechowała ostrożność wobec niemieckiego partnera, większość z głębokim przekonaniem zaangażowała się w możliwie jak najszybsze uregulowanie wzajemnych stosunków. Jedni i drudzy stawiali sobie za cel zrozumienie i wzajemne zbliżenie. Do absolutnych wyjątków należeli ci, którzy tzw. twardą postawę traktowali jako odskocznnię do kariery politycznej.

Lata te pozwoliły mi poznać stronę niemiecką. Miałem zaszczyt poznać osobiście byłego kanclerza RFN Willi Brandta i przyszłego prezydenta RFN Richarda von Weizsäckera. W spotkaniach, w których brałem udział zdecydowana większość przedstawicieli strony niemieckiej dążyła do normalizacji wzajemnych stosunków i pojednania. Zdarzały się oczywiście wystąpienia, które odbiegały od tej linii. Działalność w różnych gremiach, a przede wszystkim w ramach Komisji Podręcznikowej pozwoliła mi na zadzierzgnięcie więzów przyjaźni z kolegami niemieckimi.

Okres, kiedy sprawowałem godność dyrektora Instytutu Zachodniego nie był pozbawiony kłopotliwych spraw, o które przychodziło mi się potykać. U progu mojej kadencji, w ramach odżywiających co pewien czas tendencji centralistycznych, powstał w Warszawie poroniony pomysł likwidacji Wydawnictwa Instytutu Zachodniego i utworzenia na jego gruzach filii Ossolineum oraz połączenia trzech bibliotek podlegających Polskiej Akademii Nauk, a mianowicie Biblioteki Kórnickiej, Biblioteki Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Biblioteki Instytutu Zachodniego. Zdecydowanie zaprotestowałem przeciwko temu pomysłowi. Znalazłem pełne zrozumienie i poparcie u ówczesnego Sekretarza Wydziału I Nauk Społecznych PAN prof. Markiewicza i ówczesnego Sekretarza Oddziału PAN w Poznaniu prof. Macieja Wiewiórowskiego.

Staralem się w miarę możliwości o rozwój kadry naukowej Instytutu, gorąco popierając uzyskiwanie stopni naukowych doktora i doktora habilitowanego. W owych latach udało się uzyskać prawa doktoryzowania przez Instytut Zachodni w zakresie historii i nauk politycznych. Żałuję jednak, że nie powiódł się zamysł otwarcia zakrojonych na szeroką skalę seminariów doktorskich wykraczających poza mury Instytutu Zachodniego. Mogłyby one stać się załączkiem studium doktorskiego w zakresie niemieckoznawstwa.

Dążąc do zintegrowania pracowników Instytutu Zachodniego i Zakładu Badań nad Polonią Zagraniczną, którym kierowałem w latach 1974-1978 wystąpiłem z propozycją zorganizowania balu karnawałowego w Sali Malinowej Pałacu Działyńskich. Mam nadzieję, że pozostał on w miłej pamięci jego uczestników.

Lata 1973-1978, kiedy stałem na czele Instytutu Zachodniego należą do najbardziej interesujących w moim życiu. W moich wspomnieniach z tego okresu jasne strony zdecydowanie przeważają nad cieniami, których, jak to w życiu bywa, również nie brakowało.

ANTONI CZUBIŃSKI

INSTYTUT ZACHODNI W POZNANIU DOŚWIADCZENIA I WNIOSKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Instytut Zachodni powstał w określonych warunkach społeczno-politycznych okresu II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej w Polsce. Twórcy jego nawiązywali do tradycji politycznej ukształtowanej przez najnowszą historię Polski. Wywodzili się oni na ogół z obozu demokratyczno-narodowego, który